

PRZYGODY Z OPATRZNOŚCIĄ

Z biskupem seniorem Ignacym Jeżem

rozmawia ks. Henryk Romanik (9. 11. 2006)

Księżę Biskupie, rozpocznijmy rozmowę od fenomenu zadziwienia życiem z perspektywy podziwianej długowieczności.

Dzisiaj, gdy patrzę na moje życie z perspektywy ponad dziewięćdziesięciu lat, to się już niczemu nie dziwię. Gdy wszystko zbieram w pamięci, to podoba mi się tytuł, który wybrała autorka wywiadu-rzeki ze mną: „Przygody z Opatrznością”

Najpierw słowo „przygoda”, które wzięte jest z harcerstwa. Odkąd wstąpiłem do harcerstwa, faktycznie na wszystko patrzyłem trochę jak na przygodę. Gdy z seminarium wyrzucono prawie 40 kleryków, ale mnie nie, pomyślałem - ot, przygoda...

Potem pojechaliśmy na wycieczkę z reprezentacyjną drużyną harcerską do Lachsenburga koło Wiednia. Ja byłem zastępowym, a drużynowym ks. Bonifacy Sławik, późniejszy kapelan arcybiskupa Gawliny. Wychowawcy postawili harcerstwo na bardzo wysokim poziomie, a często powtarzali nam słowo „przygoda” W praktyce był nieustanny szereg przygód. Któregoś dnia musieliśmy zdobyć sprawność „ćwika”, która polegała na przeżyciu 24-godzinnej wycieczki. Razem z kolegą udało nam się przetrwać taką wyprawę za dnia i w nocy; tak zostaliśmy „ćwikami” Z czasem zostałem podharcemistrzem.

Gdy gestapo zamknęło mnie w 1942 roku, po trzech tygodniach siedzenia w pojedynczej celi zacząłem tak myśleć: „Młody człowiek, po pięciu wspaniałych latach kapłaństwa, a tu koniec. Teraz poślą do obozu i sprawa załatwiona” Wtedy sobie powiedziałem: „To też inna forma przygody, bo można pracować duszpastersko, głosić kazania, odprawiać msze, spowiadać, ale... można też siedzieć w więzieniu. Dlaczego nie? Pan Bóg wybiera dla ciebie raz taką, a raz inną przygodę. Zobaczymy” I takie rozmyślanie mnie uspokoiło, chociaż nigdy nie wiadomo, jak się taka przygoda skończy.

Potem był transport pociągami do obozu, który trwał trzy tygodnie. Którejś nocy na *Polizeipraesidium* we Wrocławiu, otrzymałem bezcenną odpowiedź na moje wątpliwości. Podchodzi do mnie jeden z więźniów i pyta: „Jesteś księdzem?” „Tak – odpowiadam – zamknęli mnie za odprawienie mszy w Hajdukach za mojego proboszcza zmarłego w Dachau” „Tu jest grupa

oficerów, piłkarzy z KS „Śmigły” z Wilna. (Oni grali chyba nawet w drugiej lidze.) Posadzili nas, że byliśmy organizatorami buntu w oflagu i wiozą nas na *Sondergericht* (sąd specjalny), a to wiąże się nawet z możliwością wyroku śmierci. Trochę się boimy i może byś nas wypowiedała...”

Ma sens taka przygoda, bo możliwości wypowiedzenia tych kandydatów na śmierć, z którymi siedziałem tamtej nocy na policji we Wrocławiu, nie miałbym nigdy.

A potem w transporcie spotkałem „ślepego Maxa”, który pokłócił się ze swoim przełożonym, a ten zakwalifikował go do *Arbeitsscheu*, to znaczy do takich, co się wykręcali od roboty. W obozie nosili oni czarne trójki. Jak to, ślepego można było posłać do obozu! Patrzyłem, jak jego koledzy mówili mu: Patrz, dziś są takie małe porcje chleba... a ci koledzy-bandyci po prostu okradali go z jedzenia. Zaproponowałem Maxowi, że się nim zaopiekuję, by bronić go przed złodziejami. Bardzo się ucieszył, bo już w trakcie ładowania nas na ciężarówkę w drodze do Dachau, mogłem mu pomóc. I gdy pomagano nam kolbami i kopniakami przy wsiadaniu, esesman pyta, dlaczego go podtrzymuję. No to mówię: - On jest ślepy i muszę go prowadzić. -

Przez to i ja mniej oberwałem, bo miałem Maxa pod opieką. Tak sobie mówię: - Każda przygoda ma swoje złe i dobre strony.-

Udało mi się przeżyć obóz. Po wyzwoleniu spędziłem jeszcze jeden rok w Goepingen, gdzie zbierano uwolnionych Polaków, którzy pracowali wcześniej u bauerów. Był tam rotmistrz Musiał-Pęczyński, który wzywał: Zostajemy, będziemy tworzyć emigrację! Mówię do niego: Panie rotmistrzu, z chłopakami od bauerów - emigrację? To nie ma sensu, żeby oni tu siedzieli u rodzin niemieckich i z nimi się wiązali. Co to za emigracja, trzeba wracać do domu i tam pracować u siebie! A ksiądz pojedzie z nami? – zapytali. Zgodziłem się i wróciliśmy w 1946 roku do Polski.

Przez 12 lat byłem katechetą, a potem rektorem niższego seminarium duchownego. Chińczycy ponoć mówią: „Obyś cudze dzieci uczył” i traktują to jako przekleństwo, a ja mówię, że to była ciekawa przygoda. Stu dwudziestu chłopaków mieszkało w internacie, a w całej szkole mniej więcej trzystu uczniów trzeba było jakoś prowadzić.

Czy młodzież wtedy była bardzo trudna, czy zwyczajna jak na owe czasy? Teraz tyle dyskutuje się o sprawach szkolnych i kryzysie wychowania...

Z porównywaniem dawnej i dzisiejszej młodzieży jest niełatwo. Trzy lata temu katecheta w gimnazjum im. Mickiewicza w Katowicach zaprosił mnie, by tam przeprowadzić rekolekcje. Broniłem się: Czyś ty na głowę upadł? Ja zdawałem maturę w 1932 roku, siedemdziesiąt lat temu! Jednak rekolekcje się odbyły i młodzież nawet przychodziła mnie słuchać. Na

zakończeniu urządzono rodzaj konferencji prasowej i zapytali mnie: - Jak ksiądz biskup ocenia nas w porównaniu z kolegami z lat maturalnych biskupa? Mówię im: To się nie da porównać. Dzisiejszy człowiek jest zupełnie inny, przez gazety, telewizję, komputer, Internet. Dzisiaj samochody, ba, samoloty, to codzienność, a ja musiałem słuchać koncertów konkursu szopenowskiego w radiu na kryształek, żeby cokolwiek można było złapać.

Pamiętam niewidomego Węgry, Imre Ungara, który zajął pierwsze miejsce. Zachodziłem wtedy w głowę, jak on mógł się nauczyć na pamięć całych koncertów i innych utworów. I to jest też zadziwienie życiem.

Czasami spotkanie z kimś ciekawym albo ważnym odmieńca nasze losy. Jak to było z decydującymi spotkaniami w życiu Księdza Biskupa?

Wkrótce rozpoczęła się nowa przygoda. Któregoś dnia, a było to 13 maja (1960), na Matkę Boską Fatimską, wezwał mnie kardynał Wyszyński i zapytał podstępnie: - Jak ksiądz rektor myśli, po co ja go tu wezwałem? Na pewno chodzi o seminarium duchowne – mówię mu które już dwa razy komuniści próbowali zamknąć, a ksiądz prymas może nas jeszcze przed tym uratować. Przedstawiam mu moje akta, on kiwa głową, uśmiecha się. Myślę: Dobrze trafiłem.

Jak mi już tchu zabrakło, to podsunął mi kartkę i mówi, że papież Jan XXIII chce mnie biskupem mianować - ale ja muszę na to wyrazić zgodę. Ja mówię: - Proszę księdza prymasa, tam jest napisane, że miałbym być biskupem pomocniczym w Gorzowie. Tam już są przecież dwaj biskupi ze Śląska, Pluta i Stroba. Jak jeszcze ja dojdę, to przecież ci księża będą mieli żal, że nie wybrano nikogo z lokalnych kandydatów.

Prymas miał na wszystko gotową odpowiedź: A może Ojcu Świętemu zależało, żeby przynajmniej między wami była zgoda, bo przecież różnie bywało na Ziemiach Zachodnich...

Dyskutuj po tym z prymasem, więc zamilkłem. Prymas pyta: Czy to milczenie mam przyjąć jako wyrażenie zgody? Odpowiedziałem: Tak. I zaczęła się moja nowa przygoda biskupia w Gorzowie, a znowu po dwunastu latach zostałem biskupem ordynariuszem w Koszalinie.

Czy Ksiądz Biskup w swoich czasach śląskich znalazł trochę Pomorze albo Koszalin? Przecież to przed wojną był inny kraj...

- Ja się urodziłem (31.07.1914) także w „innym kraju”! Zналиśmy trochę Pomorze tylko z przyjazdów wakacyjnych, ale poza tym nic więcej.

Sytuacja ludnościowa na Pomorzu była nie do porównania z moimi rodzinnymi stronami. Lokalne społeczeństwo tu się cały czas dopiero tworzy.

Potrzeba 50-60 lat, a może i 5-6 pokoleń, żeby wyrosła tutejsza tradycja, lokalna kultura. Kto to jest ksiądz ze Śląska, to wszyscy mniej więcej wiedzą, ale powiedzieć, czym cechuje się ksiądz z Koszalina, nie jest takie proste. Na pewno jest ogromnie pracowity. Wiem, że mając 4 filie plus kościół parafialny do obsłużenia, ksiądz tutejszy ma co robić. Nieraz nawet ukrywali przed biskupem, że odprawiali w niedzielę więcej mszy, choć wolno im tylko 4 razy w niedzielę stawać przy ołtarzu.

Biskup nie odpowiada tylko za sprawy duszpasterskie, ale i za społeczne, ludzkie. Jak to było w pierwszych latach biskupowania pośród przybyszów z Kresów, z Wielkopolski, czy z innych stron?

Jeszcze jako młody biskup w Gorzowie wyjeżdżałem na wizytacje. Po mszy lubiłem rozmawiać z ludźmi i kiedyś zapytałem, czy odwiedzają sanktuarium maryjne w Rokitnie. A oni ze śmiechem odpowiedzieli, że tylko do Kochawiny pod Lwowem, bo dziadek i tato prowadził ich tam, więc uznają tylko Kochawinę, bo o Rokitnie nikt im nie mówił. Zanim zaczęto pielgrzymować do pomorskich sanktuariów, trzeba było sporo czasu, aby powstała np. tradycja pielgrzymowania do naszego Skrzatusza.

Podobnie było ze zwyczajami między księżmi. Kiedyś mówił mi wikary, że proboszcz spod Lwowa przejmował wszystkie ofiary kolędowe, a później inny z Wilna połowę mu oddał. Także i te praktyczne sprawy pokazywały odmienne podchodzenie do różnych rzeczy i przyzwyczajenia kleru. Urządziliśmy więc synod diecezjalny, który ustanowił lokalne prawa. Jednak więzi z miejscami pochodzenia w kolejnych pokoleniach są na tyle silne, że nawet młodszy chętnie udają się np. do Ostrej Bramy, do ojczyzny babci.

Czy można nazwać te procesy społeczne i religijne dojrzwaniem tożsamości małej ojczyzny, patriotyzmem nowego domu?

Dojrzwanie dzieje się na naszych oczach. Ludzie uczestniczą w nim przez przywiązanie do swojego środowiska, np. do teatru, kina, filharmonii. Nade wszystko przez tworzenie nowej przestrzeni modlitewnej. Gdy Koszalin miał 30 tysięcy mieszkańców, były tu dwa kościoły, a gdy liczył już 80 tysięcy, nic się nie zmieniło. Władze były nieugięte, dopiero w nowych czasach postawiono kolejne świątynie.

- ...ale wtedy promowano inny kształt ojczyzny: bez kościołów.

Tak rodzi się ta mała ojczyzna: przez przywiązanie do miejsca i nowe więzi międzyludzkie. To widać choćby w wyborach do władz lokalnych, gdy ludzie mają zaufanie do tych, których znają. Ja mogę to powiedzieć o moich

rodzinych stronach między Tarnowem i Katowicami, gdzie spędziłem jakieś 40 lat i o moim pomorskim domu, gdzie żyję drugie tyle.

Jednak mówi się w Polsce „biskup koszaliński” mimo wyraźnej melodii śląskiej w mowie Księdza Biskupa.

To prawda, bo chociaż ja już na zawsze pozostanę Ślązakiem, boć stamtąd przecież czerpałem dużo form duszpasterskich i nawiązywałem do wielu tamtejszych tradycji, które tu wydawały mi się przydatne, to jednak jestem „koszaliński i kołobrzeski”. Po mnie przyszedł biskup Domin promujący działalność charytatywną, potem biskup Gołębiewski jako bibliista próbował ożywić zainteresowanie Pismem Świętym, a biskup Nycz, odpowiedzialny w Episkopacie za katechezę, zachęca teraz do odrodzenia katechezy parafialnej. Ja wniosłem swoje, a oni swoje i tak rośnie ta nasza społeczność.

Ideologia komunistyczna traktowała polską obecność na tych ziemiach tak, jakby świat rozpoczął się tu w 1945 roku. A jakie było podejście biskupów do tej sprawy?

System marksistowski, zwany wtedy „naukowym”, był dla naszych ludzi czymś kompletnie obcym i narzuconym, i nie było szans, byś ktoś za tym „poszedł w ogień”. To myśmy próbowali integrować w tym środowisku przybyszów polskich z różnych stron. Kiedy zobaczyli oni tu kościoły szachulcowe, w „pruską kratę”, początkowo czuli się obco. Z czasem wnieśli swoje elementy: obrazy, drogę krzyżową, wyposażenie katolickie. Wtedy mogłem im powiedzieć, że to od nas zależy, czy będziemy czuli się u siebie.

Ideolodzy powtarzali swoją propagandę w szkole, w pracy, w polityce. Kazali obchodzić nowe, obce święta. Mówiliśmy wtedy, że naszym świętym był 3 maja, a tu przymuszają, by świętować pierwszego maja. To nie było nigdy i nie stało się naszym świętem. Na szczęście zostawiono ten sam hymn narodowy, ale obok przecież była jakaś kompletnie obca „międzynarodówka” w którą nikt nie wierzył. Ludzie śpiewali to czasem, bo byli zmuszeni. Nie było wyjścia, ale gdyby zamiast kolektywizacji tutejszą ziemię władze komunistyczne rozdzieliły ludziom, to byśmy na Pomorzu mieli teraz rozwinięte społeczeństwo rolnicze, a nie biednych i wygnańców we własnym kraju.

Kto miał nauczyć ludzi gospodarzenia, gdy nie pracowali na swoim?

Taki traktorzysta czy dojarka robili tylko to, co kazał im kierownik, ale przecież w planach produkcyjnych to i kierownictwo często nie wiedziało, co się dzieje. Długo także mówiło się, że żyjemy na „poniemieckim”. To

dotyczyło domów, kościołów, szkół i podtrzymywało mentalność tymczasowości i nieodpowiedzialności za swoje środowisko.

A my podpisaliśmy portret biskupa Reinberna w bazylice kołobrzeskiej, że ufundował go jego „pierwszy następca” Na tym polega logika kontynuacji i zadomowienia Kościoła w lokalnej historii i tradycji małej ojczyzny.

Czy nie obawia się Ksiądz Biskup, że nowa fala emigracji zarobkowej i brak pewności egzystencjalnej młodego pokolenia na Pomorzu może zachwiać tą więzią z domem, już nie mówiąc o lokalnym patriotyzmie?

Szkoda, ale tak się dzieje niestety. Bywały czasy, jeszcze do lat 60., że ludzie napływowi siedzieli prawie na walizkach i bali się, że tu wrócą Niemcy. Młodszy, urodzeni na Pomorzu już tego nie pamiętają i nie zdają sobie sprawy, że dopiero ustawa „gierkowska” z 1971 roku uczyniła własnością kościelną świątynie i plebanie, ale wcześniej to nie byliśmy na swoim.

Opowiada o tym anegdota o proboszczu, któremu komornik za niepłacenie czynszu za obiekty sakralne chciał zająć piękny obraz z Ostatnią Wieczerzą. Nakleił kartkę z pieczęcią na złoconą ramę i zapowiedział, że wróci tu z transportem. Proboszcz zwinął obraz i zostawił pustą ramę na ścianie, a gdy zdumiony urzędnik zapytał o tamtych na obrazie, przezorny ksiądz odparł: „Tamci? - jak zjedli, to sobie poszli...”

Nie można było przecież żyć w takim prowizorium, ciągle „nie-u-siebie”...

Ale gdy parafianie mogli już powiedzieć: „Ten kościół jest nasz”, to ruszyły roboty remontowe, nowe budowy i plany rozwoju. Przykładem tego może być klasztor franciszkanów w Darłowie, który został zbudowany, jakby stał tam już od wieków. No i nade wszystko bazylika kołobrzeska, z której teraz jesteśmy dumni w świecie, a niewiele brakowało, by rozebrano na cegły tę powojenną ruinę. Gdy prymas Wyszyński w 1975 roku wszedł pomiędzy resztki ocalałych murów, westchnął: „Czy wy dacie radę to odbudować?”

Ale w księżach i w świeckich była ogromna gorliwość i pracowitość w warunkach niesamowicie trudnych. Ludzie przynieśli ze sobą nie tylko wspomnienia z dawnych stron ojczystych, ale także wielkie przywiązanie do Kościoła i szacunek dla duszpasterza. Kiedy trzeba było podjąć trudne zadania i ksiądz umiał zaprosić do współpracy, to parafianie i nie tylko stawali za nim murem. Długo to trwało, by nabrali do siebie zaufania i wzajemnie zaczęli się wspierać. Myślę, że potrwa to jeszcze trochę, aż będzie można powiedzieć, że już ukształtował się „człowiek pomorski”, ktoś o mentalności koszalińskiej

i kołobrzeskiej. Mała ojczyzna Środkowego Pomorza potrzebuje jeszcze dojrzewania.

Od pewnego czasu możemy zaobserwować narastające zainteresowanie historią naszego regionu. To nie tylko wiedza i legenda, ale także różne inicjatywy społeczne, prywatne, międzynarodowe na rzecz zabezpieczania, upamiętniania najstarszych cmentarzy na tych ziemiach: tych ewangelickich, a nawet żydowskich. Nie zawsze tak było. Sam pamiętam likwidację takich „nie-naszych” grobów.

Rzeczywiście, świadomość nasza w tych sprawach ostatnio bardzo się zmieniła. Była taka linia oficjalna dawniej, że wszystko, co niemieckie, to nie tylko obce, ale i wrogie. Niezrozumiałe były pierwsze próby wspólnej modlitwy z przybywającymi do nas Niemcami stąd pochodzącymi, którzy chcieli pomodlić się w należącej kiedyś do nich świątyni. Znamy przykłady prawdziwego buntu w parafiach, gdzie pojawiły się takie próby. Nie mówiąc o trudnościach z władzami.

Dopiero możliwość podróżowania na dawne polskie Kresy i odwiedzanie tamtejszych naszych cmentarzy i kościołów otworzyła nam oczy na podobną sytuację Niemców odwiedzających swoje miejsce urodzin i rodzinne groby. Na szczęście nie zlikwidowano wszystkich cmentarzy. Część z nich, na wioskach zwykle, została; zaniedbana i opuszczona, ale ze śladami przynajmniej po nagrobkach i krzyżach. Tam, gdzie nie zostały one rozgrabione i zdewastowane, teraz tworzy się lapidaria i godnie upamiętnia dawnych mieszkańców tych ziem. Długo musieliśmy dojrzewać do tej nowej tożsamości naszej małej ojczyzny.

Nawet nam, byłym więźniom obozów, nie było łatwo mówić o pojednaniu. Ale skoro mówimy w modlitwie: „...odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”, to trzeba było skończyć z nienawiścią, poszukiwaniem odwetu, pamięcią tylko o krzywdzie. I podaliśmy rękę na pojednanie. Tak i z tymi cmentarzami: trudno się mścić na bezbronych nagrobkach, a skoro od innych domagamy się szacunku dla polskich grobów, to trzeba i nam zachowywać się po ludzku i po chrześcijańsku wobec dawnych niemieckich mieszkańców, słowiańskiego kiedyś, a potem długo niemieckiego Pomorza. Mądre jest także pamiętanie o śladach pomorskich Żydów, pierwszych stąd wypędzonych na zagładę. Warto ich wspominać w modlitwie i w wychowaniu najmłodszego pokolenia.

Niedawno, 4 listopada, uczestniczył Ksiądz Biskup w odsłonięciu ciekawego pomnika w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen koło Berlina.

Przyjęliśmy chętnie zaproszenie kardynała Sterzinskiego z Berlina i zarządu muzeum obozowego, by upamiętnić szczególnych więźniów tego miejsca, o których przez 60 lat się milczało. To właśnie tam transportowano polskich księży z północnych diecezji (Gdańsk, Gniezno, Poznań, Włocławek), aresztowanych już w 1939 roku przez hitlerowców. Dopiero w grudniu 1940 roku wszystkich przewieziono do Dachau. Zdaje się, że na prośbę kard. Bertrama z Wrocławia gestapo zebrało wszystkich księży w jednym obozie koło Monachium, gdzie mieli nawet kaplicę i mogli się jakoś wzajemnie wspierać. W Sachsenhausen przebywało ponad 700 księży, z tego ponad 600 Polaków. Około stu ich zginęło jeszcze w obozie i w czasie transportu przeprowadzanego w nieludzkich warunkach. To właśnie dla nich przygotowano ciekawy pomnik, na którym miały być wyryte także nazwiska zmarłych Polaków. Przesłano mi nawet do korekty listę nazwisk polskich ofiar. W wielkim głazie wycięto krzyż, który położono obok w trawie. To na tym krzyżu są wypisane nazwiska księży

W moim przemówieniu, na prośbę kard. Dziwisza, wspomniałem też profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, których po aresztowaniu przewieziono do KZ Sachsenhausen. Niektórzy z nich tam też zostali zgładzeni.

Kiedy oglądaliśmy w kinie wstrząsający film V. Schölndorffa „Dziewiąty dzień”, oparty na prawdziwych losach luksemburskiego księdza, więźnia z Dachau, Ksiądz Biskup był z nami. Po projekcji zadawaliśmy pytania i w jednej z odpowiedzi, Ksiądz Biskup odparł: „Nawet jak wam wszystko opowiem, to i tak nie zrozumiecie.” Czy tak trudno jest mówić o tamtych przeżyciach, przekazać tamto doświadczenie?

- To jest praktycznie niemożliwe. Ja sam do dzisiaj nie rozumiem, jak to było możliwe, że ludzie z takiego kulturalnego narodu, wykształceni przecież gestapowcy, potrafili tak kopać leżącego na ziemi człowieka, że ten pozostawał martwy pod ich buciorami. Tylu muzyków, filozofów, pisarzy, naukowców było wśród Niemców, a przecież te wszystkie bestialstwa stały się faktem i zostały ślad na wszystkich uczestnikach tamtych wydarzeń. Przecież nie wszyscy byli takim marginesem ideologicznym, a jednak przyzwolili na tyle zła...

W obozie włączono mnie do specjalnego *Arbeitskommando Geometer* jako pisarza na maszynie, który musiał opisywać pomiary geodezyjne na terenie obozu. Nasza trójka miała osobnego *Postena* [strażnika], który pilnował nas, gdyśmy wychodzili poza ogrodzenie. On właściwie nie miał co robić i czasem naciągnęliśmy go na rozmowy o sprawach wojennych. Okazało się, że był na froncie wschodnim, ale wrócił z przestrzeloną ręką i nie mógł w niej utrzymać

karabinu (kto wie, czy sam sobie tego nie zrobił). Opowiadał o zwycięskich marszach ze 100 tysiącami jeńców. Zapytaliśmy go: „I coście z nimi robili?” „No, jak to co? – odpowiadał spokojnie, jakby jadł bułkę z masłem – przecież nie mogła cała armia zostać i pilnować jeńców.” „Ale co z nimi zrobiliście?!” – nalegaliśmy. „Wystrzelaliśmy” – wyjaśnił kulturalnie nasz wykształcony strażnik.

W naszej rozmowie słowa „kultura” i „wychowanie” przewijają się dość często. Wiemy, że Ksiądz Biskup sam spisał i podyktował wiele wspomnień już opublikowanych, by podzielić się z młodszymi od siebie ową „przygodą z Opatrnością”. Jaką rolę w życiu Księdza Biskupa, od dzieciństwa w domu i w szkole, odgrywała książka i jakie tytuły powracają chętnie w pamięci?

Po tym jak przez 12 lat byłem dyrektorem gimnazjum św. Jacka (w Katowicach) i rektorem niższego seminarium duchownego, pozostało mnóstwo doświadczeń. Zachęciłem moich wychowanków, z którymi mam do dziś dobry kontakt, by zebrali to wszystko. Udało się wydać dwutomową historię i zbiór przygód, osobistych świadectw i opowieści.

Uważam, że książka jest najlepszym pomnikiem. Nie te z kamienia czy ze spizu, ale właśnie książka najlepiej przywołuje wspomnienia i wychowuje. Pomnik można zniszczyć, zamienić na bruk, ale żeby z tysiąca egzemplarzy książki wszystkie miały zginąć, to chyba niemożliwe. To, co pozostawimy zapisane, nawet po 100 latach będzie mówiło o nas i naszej twórczości, dorobku, przeżyciach.

Tytuły, które mi towarzyszą od najmłodszych lat i w pracy wychowawczej, to nade wszystko Trylogia Sienkiewicza. Nawet mam w domu takie eleganckie wydanie, do którego co jakiś czas zaglądam. Kiedy po wojnie organizowaliśmy wykłady dla „katolików głębiej myślących” (nie można było mówić, że to dla inteligencji), przydzielono mi zadanie, bym opowiedział o dziele Antoniego Gołubiewa „Bolesław Chrobry” Wspaniała historia i jak napisana! Musiałem przebrnąć przez wszystkie 6 tomów, ale nie było to morderką. Przeciwnie, bo uważam, że jest to jedna z najlepszych i najpiękniejszych książek, jakie ukazały się u nas po wojnie. Wielkość Gołubiewa polega m.in. na stworzeniu oryginalnego języka dla przedstawienia owej piastowskiej sagi. To nie tylko rzecz do czytania, ale i kopalnia portretów postaci przydatnych w wychowaniu.

W 1948 roku maturę zdawała klasa, której byłem wychowawcą i do której należeli np. Wojtuś Zabłocki, mistrz olimpijski w szermierce (nasza klasa stała się przez niego sławna), i redaktor Wolnej Europy, autor wybitnej monografii „Nie paść na kolana. Szkice o polskiej polityce lat powojennych”,

Marek Łatyński. Czytam też książkę pana Grajewskiego „Wygnanie” o katowickim biskupie Adamskim, jednym z wypędzonych w latach 50. ze swojej diecezji. Mam też na półce rzeczy o polskich lotnikach, nauczycielach, księżach.

Widać wyraźnie, że Ksiądz Biskup przywołuje tytuły z nurtu historycznego. Czyżby zaufanie do historii jako „magistra vitae”?

Rzeczywiście, zawsze interesowała mnie historia bardziej od języków, matematyki, czy przyrody. Sam napisałem pracę magisterską z dziejów obrazu Matki Boskiej Piekarskiej, która była oparta na dokumentach kapituły krakowskiej. Gdybym dostał we właściwym czasie trochę urlopu na pracę naukową, to pewno zdobyłbym i doktorat, ale biskup Bieniek powiedział, że zależy mu bardziej na pracy w seminarium niż na moich tytułach i nie dał mi urlopu.

Kwartalnik „Latarnia morska” zdobywa środowisko czytelnicze, które żyje w procesie przemian europejskich, odnajduje się jakoś w nowych realiach polskich i szuka wyraźnych znaków pomorskiej kultury. Szkoda, że nie wszyscy mają do niej dostęp, ale też i niezbyt wielu jej szuka.

Niestety rzeczywistość społeczna jest taka, że są wśród nas i tacy, którzy nie chcą mieszkać kulturalnie i wybierają swój, często dramatyczny, styl życia. Część z nas nie chce, może nie potrafi, uczestniczyć w tworzeniu wspólnego dobra. Także na Pomorzu, także w Kołobrzegu.

Kiedy zostałem biskupem tej diecezji, w rozmowie z socjologiem z KUL-u opowiadałem o tym milionie mieszkańców, o pięciuset księżach. - Jak z tego stworzyć wspólnotę? rozważałem. Odpowiedział mi, że trzeba się nastawić na to, że część (może 10 %) będzie stwarzała kłopoty. Z pozostałymi można współpracować. Te szacunki się sprawdzają i z większością daje się lepiej albo gorzej tworzyć tutejszą, tę kościelną i tę społeczną, małą ojczyznę.

Kiedy zimą 1982 roku Ksiądz Biskup odwiedzał w Paradyżu swoich seminarzystów, podzieliliśmy się podejrzeniami, że są wśród nas donosiciele. Wtedy usłyszeliśmy odważną myśl: „Nie bójcie się. Pamiętajcie, że od początku w Kościele co dwunasty... to Judasz. Musimy sobie z tym poradzić.” Pamiętaliśmy te słowa, przyglądając się sobie i nie chcąc być tym „dwunastym”.

To prawda, może nie dosłownie, ale taka była rzeczywistość. Cokolwiek udało nam się zrobić, to dzięki solidarnej współpracy owych 90%.

Takie wychowanie i takie duszpasterstwo, które respektują wolność, dają owoce i umożliwiają podejmowanie trudnych odpowiedzialności. To najbardziej sprawdziło się na księżach, na ludziach budujących nowe kościoły. Kiedy pomyślę dzisiaj o kołobrzeskiej konkatedrze, gdzie podczas odbudowy zwiedzałem rusztowania (nieraz było to dość niebezpiecznie), podziwiam dokonane dzieło, które dziś nie ustępuje średniowiecznym budowłom. A to wszak w większości rekonstrukcja.

Uświadamiam sobie, że po godzinie rozmowy o wychowaniu, o historii, o kulturze, właściwie nie mówimy o Panu Bogu. Mam teraz trochę „księżowskie” pytanie: jak się modli biskup, człowiek odpowiedzialny za milion ludzi, za setki swoich księży; znający nasze problemy od podszewki? Jak to wszystko mieści się w sercu, w słowach, w rozmowie z Bogiem?

Muszę powiedzieć, że we wszystkim, o czym mówimy, niejako „na zapleczu” jest Pan Bóg. Jednak przywoływanie tego bez przerwy nie ma sensu. Bez Boga przecież nie jestem biskupem i bycie księdzem jest niemożliwe. Kiedy pewien wojewoda przestał urzędować, to wrócił do swojej pracy profesorskiej, a ja nawet na emeryturze jestem dalej biskupem i działam jako biskup. Taka jest prawda o mojej modlitwie.

Pośród czytelników „Latarni” mogą się znaleźć i tacy, którzy do kościoła (prawie) nie chodzą, mają problemy z modlitwą...

I co ja mam z nimi zrobić? Jak nie chcą mieć ze mną do czynienia, to przecież ich nie przymuszę, ale nie powiem, że spisuję ich na straty. Nawet jeżeli w tym umownym milionie jest ich 100 tysięcy; mój Boże, dwa razy Kołobrzeg! Może ludzie nie wiedzą, ale w każdej mojej Mszy św. są oni wszyscy, a nade wszystko moi księża. Bo ja jestem tu u siebie i za tych moich ludzi odpowiadam przed Bogiem. Więzy z rodzimą diecezją katowicką to jedno, a moje biskupie życie to drugie. Kiedy arcybiskup Zimoń chciał mnie na emeryturze zabrać do Katowic, to mu grzecznie podziękowałem, bo przecież na Pomorzu jest moje miejsce, mój dom.

W swoich opowieściach i publikacjach Ksiądz Biskup wspomina chętnie człowieka, który widnieje tu na kilku fotografiach.

Prosimy o podzielenie się wspomnieniem o spotkaniu z Janem Pawłem II.

Muszę rzec, że przyjaźń z biskupem Wojtyłą od początku była wielką przygodą. Kiedy zostałem młodym biskupem, on odpowiadał w Episkopacie za duszpasterstwo młodzieży. Powiedział mi wtedy: Ty byłeś za młodu

moderatorem diecezjalnym Sodalitacji Mariańskiej” (to była przedwojenna organizacja kościelna skupiająca prawie pół miliona młodzieży), to weź za mnie pracę z młodzieżą, a ja przejdę do duszpasterstwa rodzin.

Zgodziłem się i jakiś czas współpracowałem z nim, bo wprowadzał mnie w swoje metody, poznawał z ludźmi.

Tak też było z przygodami kajakowymi. Cóż za wyprawy Krutynią, Drawą, Brdą. A Czarna Hańcza: cóż za wspomnienia!... Paszportów nie mieliśmy, więc nie było podróży zagranicznych, ale te kajaki! Podróżował z nami także biskup Stroba, jeszcze jako rektor seminarium katowickiego, który zaprzyjaźnił się z Karolem w Krakowie. Po wakacjach opowiadaliśmy o tych wyprawach, a właściwie do końca Jan Paweł II pytał: - A jak tam Drawa? Dalej taka zarośnięta trzcinami?

On zawsze mówił do mnie „Ignaś”, ale mi nie wypadało przecież w Rzymie mówić do niego „Karolu”, chociaż wcześniej byliśmy 18 lat kolegami w Episkopacie.

„Człowiek, który został Karolem”...

Muszę przyznać, że nie widziałem żadnego z ostatnio zrobionych filmów o Janie Pawle II. Po tym jak rozczarowałem się filmowymi postaciami „mojego” Wołodyjowskiego, czy Basienki, powiedziałem sobie, że lepiej niech Ojciec Święty zostanie w moim sercu takim, jakim go znałem, a nie w ekranowej podróbce. Ja go jeszcze dobrze pamiętam i nie chcę podziwiać niezbyt udanych wysiłków filmowców.

Pamiętamy też słynny różaniec koszaliński w 1991 roku u stóp Reformatorów w witrażach koszalińskiej katedry. Warto dodać, że są one rówieśnikami Księdza Biskupa, bo ufundowane w 1914 roku.

Kłęczeliśmy obok siebie i zauważyłem, jak Papież spoglądał w czasie modlitwy na postać widniejącą w jednym z witraży. Uznałem, że należą mu się moje wyjaśnienia i po nabożeństwie (transmitowanym na cały świat przez Radio Watykańskie) pokazałem mu nasze rzeźby mistrza Wencla z Iwęcina – Wit Stwosz to on nie jest, ale nasz najlepszy z tamtych czasów oraz wyjątkowe witraże. Chyba nigdzie na świecie nie ma w katolickiej katedrze wizerunków Ojców Reformacji, Lutra i Melanchtona, w tak honorowym miejscu. Kiedy ludzie pytają, co to za święci, to mówię, że jeszcze nie są kanonizowani, ale są codziennie na katolickiej mszy, to nie wiadomo, co z nich jeszcze będzie. Ojciec Święty, który sam pozytywnie wyrażał się Lutrze, uśmiechnął się nad tymi naszymi ekumenicznymi witrażami. Poza tym mają

one wartość zabytkową, a przecież trudno się zaprzecić tego elementu ewangelickiej tradycji w naszej katedrze.

Prosimy na zakończenie rozmowy, która ukáže się na jubileusz 70-lecia kapłaństwa Księdza Biskupa, o dobre, ojcowskie słowo, życzenia w nowym roku dla czytelników świątecznej książki. To będzie rok 900-lecia zdobycia Kołobrzegu przez Bolesława Krzywoustego, co wcale nie od razu uczyniło z tego pomorskiego grodu polskiego miasta. Dziś razem z księdzem Biskupem jesteśmy tam u siebie. A my, dziękując za rozmowę, życzymy Księdzu Biskupowi zdrowia i wszelkich błogosławieństw nieba w tym jubileuszowym roku i na długie lata pięknego życia.

No to życzę wszystkim, by ten proces integracji, dzieło tworzenia małej ojczyzny na Pomorzu Środkowym, był dobrze rozumiany i by trwał aż do czasu, gdy będziemy mogli powiedzieć w Koszalinie i w Kołobrzegu: „Dobrze pomnażamy milenijne dziedzictwo, boć przecież wszystko, kim i czym dziś jesteśmy, zaczęło się wtedy, 1000 lat temu.” Kiedyśmy przygotowywali pieczęć diecezjalną, niektórzy się spodziewali, że będziemy się nazywać „diocesis colbergensis” Tymczasem w Watykanie znaleziono najstarsze dokumenty ze słowiańską, choć zlatynizowaną nazwą i stąd „coslinensis-colubregana” Wszystko zaczęło się w Kołobrzegu, a nie w Kolbergu. Stąd możemy spokojnie czuć się historycznie u siebie i być gościnnymi gospodarzami dla tych, co przybywają tu w przyjaźni. Oby pojmowali to i pamiętali o tym kołobrzeżanie i wszyscy diecezjanie.

Tu są nasze fundamenty materialne i o tym mówi archeologia, ale nade wszystko te duchowe, biblijne i kościelne, i to pokazujemy naszym życiem. Mamy na czym budować naszą życiową „przygodę z Opatrnością” Życzę nam wszystkim błogosławionego Roku Pańskiego 2007.